



STANISŁAW ED. SKOKOWSKI



ZAKOPIAŃSKI FARYS

POEZJĘ 1921 R.

<http://rcin.org.pl>

LIT. INF. W. ANŻEPÓWSKI, KRAKÓW.

STANISŁAW ED. SKOKOWSKI

ZAKOPIAŃSKI FARYS

ZBIÓR POEZJI

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAIS
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

ZAKOPANE 1921 — — — — — NAKŁADEM AUTORA



CZCIONKAMI DRUKARNI „POLONIA” W ZAKOPANEM

9845
<http://rcin.org.pl>

OD AUTORA.

Wydając I. tom swych poezji, miałem przede wszystkim na względzie podzielić się z czytelnikami szeregiem nastrojów i myśli, ubranych w szaty poetyckie, wzruszyć ich serca żalobnym refrenem tęsknoty i dreszczem namiętności, a opisem obrazków górskich dać wyraz memu uwielbieniu dla cudnej Tatrzańskiej przyrody.

Dróg nowych i form poetyckich nie szukałem. Przede wszystkim starałem się być sobą, t. j. obrać naturalną i właściwą sobie linię wytyczną, po której, zdaje się, i nadal będę kroczyć.

Wycinodząc z założenia, że twórczość jest najwznioslejszym wyrazem postępu, starałem się wśród znanych nam pól i lasów wynajdywać nowe ścieżki, wiodące do zacienionych altan i słonecznych pagórków, usiłowałem z tychże pól zerwane kwiaty powiązać rytmem melodji w nowe wieńce i kwiatostany.

Przeciwstawieniem dwu odrębnych światów — świata szarej rzeczywistości i świata niepo-
wszedniości i Piękną, a szczególnie idealizując
ten ostatni, pragnąłbym choć na krótkie chwile
poprzez proch i kurzawę życiowego gościńca
ukazać oczom „wyzłoczone słońcem szczyty“, aby
te szczyty, opromienione aureolą marzeń, posłu-
żyły nam symbolem i pobudką do górnych unie-
sień i Farysowego rozpędu, odsłaniały oczom
naszym coraz szersze horyzonty i wskazały nam
nowe ścieżki do niewyczerpanych dotąd sezamów.

Zakopane, dnia 28. lipca 1921 r.

CZEŚĆ I.
LIRYKI I SONETY

ZAKOPIAŃSKI FARYS

poświęcony WP. Dr. Sztembarth

Jak orzeł, co, nikczemne porzuciwszy światy,
Na dzikie, niedostępne wylata urwiska
I, pływając w powietrzu, jak obłok skrzydlaty,
Złotym piór swoich puchem we słońcu połyska;
Już, spowity w obłoków błękitne zawoje,
Słoneczne sobie skrzydłem otwiera podwoje:

Tak ja, pragnąc nieziemskiej czary upojenia,
Wyruszyłem, gdzie zorzy zabłysła pochodnia,
Gdzie, wśród gór niebotycznych, szczyt mego marzenia
Zarumienił się świtem, jak gwiazda przewodnia.
Rozfalowany wkoło kraj górski, uroczy,
W dali szczyt, jaśniejący wśród rannych przeźroczy.

Smreki, co, jak wysmukłe świątyni kolumny,
Pilnowały wrót górskich cienistym szpalerem,
Zobaczywszy, że idę wyniosły i dumny,
Ostrzegały mnie cicho gałązek swych szmerem;
Uciszyły się, wzrok swój utopiły we mnie,
Znów zaszumiały wiatrem wabiąco, tajemnie.

— „Hej, precz mi z drogi, smereki!
W huraganowym rozpędzie
Mijam przepaści krawędzie,
W chmurach błyska szczyt daleki,
Niebotyczny szczyt — marzenia,
Co się myślą opromienia,
A przystraja marzeń tęczą,
Tam, nad skalną gór przełęczą!“

Strumień górski, co dzikie wyprawiał swawole
Po uboczu, otchłanią zagroził mi ciemną,
W posrebrzyste się wygiął ze złości półkole
I spionionym odmętym zawisnął nademną;
Już nad głową mi welon pienisty rozłoczy,
Otaczając mię zwojem srebrzystych warkoczy.

Lecz ugodzony wzrokiem, jak zwierz poskromiony,
Zwiesił grzywę, popłynął u nóg moich nizko
I, lśniąc grzywą na słońcu, jakby zawstydzony,
W granitowe ze złością powrócił łożysko.
Jeszcze w złości się srogiej zapieni, zaburczy,
Niby wzrok zamigota na słońcu jaszczurczy.

— „Hej, precz mi z drogi, potoki!
W huraganowym rozpędzie
Mijam przepaści krawędzie,
Prześcigam bystre obłoki!
Już w nadziemskie lecę szlaki,
Gdzie słoneczne krążą ptaki,
Tam, gdzie orły mi z zenitu
Krzyczą: zgiń, a pędź do szczytu!“

Kosodrzewia, co cierniem iglastych powięzi
Opasują Tatrzańskie ubocza i jary,

Zasyczały złowrogo poświstem gałęzi,
Jak gadziny podstępne, łaknące ofiary;
Coraz bliżej i ciaśniej — i jednym skinieniem
Otoczyły mię wkoło śmiertelnym pierścieniem.

Ja spojrziałem na złotem iskrzące się szczyty
I rzuciłem się w gąszcze, jak pęd zawieruchy,
Jak ten lew sozjuszony, co z puszczy rodowity
Wiatr poczuje, zaryczy i targa łańcuchy;
Wreszcie, siejąc zniszczenie i śmierć dookoła,
Wyrwałem się, podobny do śmierci anioła.

— „Hej, precz mi z drogi, krzewy, gadziny!
W huraganowym rozpędzie
Mijam przepaści krawędzie,
Wichrem wzlatam na wyżyny;
Tam, na dole, moja strzecha
Płacze za mną, opuszczona,
Ku mnie słońce się uśmiecha
I wyciąga swe ramiona;
Szepcze jakby pieśń bez końca:
„Zgiń, a pędź do słońca, słońca!“

Wiatr halny, co króluje wśród śnieżnych załomów,
Jako władca dziedziczny, w stalowym szyszaku,
Otoczony przez hufiec błyskawic i gromów,
Objeżdżał swe królestwo na dzikim rumaku;
A ujrzawszy mię, ryknął, zamącił zenity
Hufcem chmur i piorunem zatrzęsnał granity.

Jak ocean wzburzony, pociemniał kryształny
Błękit, tonąc ze słońcem gdzieś w deszczu krynicy,

A z ciemności z poświstem szedł do mnie wiatr halny
Z pióropuszem na czole i skrą błyskawicy;
Powitała go przepaść śmiertelnym uśmiechem,
A granity złowieszczem ozwały się echem.

Ja falującą piersią przypadłem do skały:
Zdało się, że mię niebo przygniotło sklepieniem;
A nademną wiatr halny, jak koń oszalały,
Przeszybował i w dół się potoczył kamieniem.
Potem szalał czas jakiś w wąwozach i skrętach,
Zaskowytał i znikł gdzieś w przepaści odmętach.

— „Hej, precz mi z drogi, wiatry, burze!
W huraganowym rozpędzie
Wichrem lecę coraz wyżej,
Mijam przepaści krawędzie,
Już do szczytu coraz bliżej!
Patrz, jak się uwieńczył chmurą
I spogląda wkoło dumnie,
Jak słoneczną się purpurą,
Blaskiem słońca śmieje ku mnie;
Patrz! już pięści moje czoło
Złotą ręką z tęcz promieni,
Jakby wabił mnie wesoło
Tam, do słońca, do przestrzeni!“

Niedaleko wierzchołka, pod skalnem urwiskiem,
Zatrzymała mnie limba skromnych oczu gestem
I, musnąwszy mą szyję lubieżnym uściskiem,
Przemówiła jedwabnych gałązek szelestem;
To zalotnie mnie okiem upieści tęskniącym,
To zaszepe, wstydliwie zapłoni się słońcem:

— „O błędny rycerzu nieznaney mi krasy!
Odpocznij na bujnym mem łonie;
Spowiję twe skronie w gałązek atlasy,
Od wiatru halnego zasłonię.

Ja w noc księżycową w gałązek swych cieni
Poślanie ci miękkie uwiję,
A senne gór szczyty gdy świt zarumieni,
Uściskiem oplotę twą szyję.

Zaśpiewa nam strumień w zawrotnej głębinie,
I wiatr wśród granitnych kolosów,
A miłość z wyżyny nadskalnej popłynie,
Jak słodki nasz hymn, do niebiosów.

Ja marzeń twych będę początkiem i końcem,
Ma miłość niech będzie ci szczytem,
A blask moich oczu niech będzie ci słońcem
I jasnym niebieskim błękitem!“

W zachwyceniu jej pieśni upojnych, jak chórów
Cherubinów w wyżynie niebieskiej słuchałem;
Aż zaćmiła się jasność słonecznych lazurów,
Złota mgła przysłoniła mi szczyt niedaleki,
I, nektarem jej ust upojony, zostałem
W czarujących mej limby objęciach na wieki...

NIE DLA MNIE SZCZĘŚCIE

Nie na mnie jasne słońce spogląda z zenitu,
Okalając horyzont złocistą obręczą,
Nie dla mnie korowody skowronków zadźwięczą,
Nie mnie uwiją gniazdo dla szczęścia przesytu.

Ja zawsze przez przepaście podążam do szczytu;
A gdy Dziewica szczęścia ku mnie, strojna tęczą,
Jako Zorza wschodząca szła skalną przełęczą,
Odepchnąłem ją, kryjąc się w mrokach granitu.

I czemu mego szczęścia złociste opary
Rozwiewam zawieruchą mej pieśni fanfary?
Czemu grótów promiennych gwiazdy przeznaczenia

Unikam, osłaniając się tarczą natchnienia?
Dlaczego żar mych myśli niedokwitłe suszy
Kwiaty szczęścia, miłości?... Spytajcie się duszy!

CZEMU, STRUMYCZKU...

Czemu, strumyczku, złomom skał
Powierzasz lzy sieroce?
I pierś twą wzdymasz, jakbyś chciał
Niebieskie wchłonąć moce?

Czemu się mienisz barwą róż
I skarżysz, moje dziecię?
I tak wszak wpadniesz hen, do mórz
I zginiesz — pył w wszechświecie...

W GŁĘBIACH EKSTAZY

Jako pątnik spragniony wśród słońca i suszy
Widzi złudę przed sobą cienistej oazy,
Tak ja w tęczach uczucia precudne obrazy
Widuję na wyżynach błękitnych mej duszy;

Czuję, zda się, potęgę, co Wszechświat poruszy,
Własne słońca roznieci potęgą ekstazy;
Słyszę pieśń, uskrzydloną w niebiańskie wyrazy,
Co nektarem przesłodkim napelnia me uszy.

A gdy, chcąc na jaw sięgnąć te cudne zjawiska,
Jak jastrząb za zdobyczą, wyteżam swe skrzydła,
Wtedy mija czar słodki i w mgłach się rozpryska,

Jak z porannych oparów i tęcz malowidła;
I długo za zjawiskiem tem cudnem, dalekiem
Gonię myślą, żałując, zem tylko człowiekiem.

W SŁOŃCU

O lubię, gdy pod mem wejrzeniem
Spoczywasz cicha, rozmarzona,
A słońce pieści swym promieniem
Alabastrowe twe ramiona.

Dokoła ciebie — wonne róże
I lilje śnieżne, woniejące,
A ty królujesz w szat purpurze,
Jako wśród gwiazd bezmiaru słońce.

Zaćmiłaś mi słoneczne światy
Niebiańskich ocz twoich wejrzeniem,
I róż precudne aromaty
Zagłuszasz jednym swoim tchnieniem.

O luba, powiedz mi, czy słońce
Ogrzewa twojem mnie wejrzeniem,
Czy twoje oczy jaśniejące
Słonecznym pieszczą mnie promieniem?

I czyli jasne tchnienie wiosny
Przez usta twoje się uśmiecha,

Czyli też uśmiech twój miłosny
Wiosenne w duszy budzi echa?

O, czysta jesteś i świetlana
I jako kryształ jaśniejąca,
A djademami tęcz odziana,
Rozniecasz duszy mojej słońca.

I wewnątrz duszy mej świątyni
Rozjaśniasz blasków barwną tęczę;
A może rychło cherubini
Radosne hymny mi zadźwięczą?

I widzę każde serca drgnienie,
I każdą falę namiętności,
Wyczuwam każde twe pragnienie
I powiew smutku, czy radości.

A w pozłocistych mgieł oponie
Świetlany sływa Anioł Stróż
I rozkochane nasze skronie
Oplata wieńcem złotych róż.

NOC W TATRACH

Noc gwiazdzista spłynęła na ludzkie osady,
Rozpostarłszy swe skrzydła na szczytów korony;
Pośród mroków tajemnych granitne legjony
Drzemią w hełmach obłocznych, jak dzikie Nomady.

Zda się, anioł beztroski powiewny i blady
Przeleciał w mgłach wieczornych przez senne zagony
I nad dachem izdebki, gdzie gazda strudzony
Usnął — pieśń ukojenia mu dźwięczą kaskady.

Ziemia śpi. Lecz ma dusza, niepewna i drżąca,
Budzi się, bierze skrzydła i w lot nietoperza
Zrywa się i kołuje pod kręgiem miesiąca,

A pijana tym szalem, co gwiazdom zazdrości,
Chciałaby lecieć kędyś przez ciemne bezbrzeża
Do rozwartych naóścież wrót nieskończoności.

KOCHAM!

Kocham!... to słowo w me serce przenika,
Jak gwiazd drgających czarowna muzyka,
Co, rozpląsane ponad twoją głową,
Igrają blaskiem w tę noc księżycową,
Jakby mnie chciały z tobą, złotowłosa,
Unieść na skrzydłach miłości w niebiosa,
Byśmy, miłością naszą oczyszczeni,
Błyśli, jak gwiazdy w błękitnej przestrzeni.

Kocham!... to słowo w duszy mojej dźwięczy
We wszystkie blaski i kolory tęczy,
Co ponad ziemią, słońcem rozzłoconą,
W błękitnem nieba zwierciadle zapłoną.
To słowo w piersi drżącej, oniemiałej
Dźwięczy fanfaram potęgi i chwały
I każe blaskiem, jaśniejszym nad słońce,
Połączyć nasze usta gorejące...

Kocham!... to słowo, jak orkan szalony,
Ściska mnie twemi białymi ramionami
I wichrem włosów rozwianych porywa.

Kocham!... to burza namiętna, straszliwa,
Co krwi mej spiętrza szumiące potoki,
Do nóg nam ściele wzorzyste obłoki,
By naszych uczuć płomienne wyrazy
Złączyć w hymn cudny nieziemskiej ekstazy...

RYCZ BURZO!

Hej, niechaj grom zatrzaśnie, grzmijcie, błyskawice!
Zaryczcie wkoło wichry szatańskim zespołem
I tańczującym wściekle obścapić mnie kołem,
Jak wśród czeluści piekła błędne czarownice!

Teraz czuję, że żyję!... Chmur ciemne gęstwice,
Niby mieczem płomiennym, rozdieram swem czołem
I, szybując w ciemnościach świetlistym aniołem,
Chwytam jasne pioruny w potężną prawicę.

Rycz burzo! Ja z chmur splotę skrzydła czarnopióre,
Piorunami powiążę, na wiatr je rozwieję
I błyskawicy krwawą odzieżę purpurę;

Rycz burzo, jak huragan w oceanu głuszy!
Może ucichnie burza, która tam szaleje
W głębokościach bezdennych czeluści mej duszy!

ZACHÓD SŁOŃCA W ZAKOPANEM

Ach, cóż to za morze szkarłatne wezbrało?
I cóż to za dymy pożarne?
I jakąż nieziemską okryły się chwałą
Granitne ołtarze ofiarne?

Dlaczego szarzeją niebieskie zenity
I gasną niebieskie już znicze?
To słońce schowało za pas złotolity
Zachodu swe kraśne oblicze.

A gdy horyzontu błękitnej przestrzeni
Dosięło płomienną nawałą,
Zalało horyzont szkarłatem płomieni
I samo w swych blaskach zgorzało.

Już kruki latają i, kracząc złowieszczco,
Wśród ciszy, jak gdyby przed burzą,
Czarnymi skrzydłami w powietrzu szeleszczą,
A skały ponuro im wtórzają.

I kędyś w niebiosach w chmur świetlnej powodzi,
Pędzonej wieczornym oddechem,

Archanioł już hejnał wieczorny zawodzi,
Co smętnem rozdzwiewa się echem.

Wokoło lśnią wzgórze od barwnych kontuszy.
Jak orszak we wiejskim kościele:
Ach, zda się, że orszak ten kędyś wyruszy
Z Giewontem potężnym na czele.

Z Giewontem, co cały we blaskach się mieni,
Koroną uwieńczył swe czoło,
Rozzłocił się pękiem ostatnich promieni
I dumnie spogląda wokoło.

Tak, dumnie spogląda, bo z dawnych stuleci,
Wzniesiony nad dumne tytany,
On w gwiazdnej koronie, jak ojciec wśród dzieci,
Jest władcą i panem nad pany.

W słonecznym szkarłacie, nad gór oceanem,
Co wiecznie się kłębi i wzdycha,
On jeden jest królem, najwyższym kapłanem,
Ambroję z chmur sączy kielicha.

I teraz w tej cichej, wieczornej godzinie
On stoi w szkarłatnej oponie
I błogosławieństwo śle cudnej krainie,
Krzyż złoty uniósłszy w swe dłonie.

A chmurki wokoło od słońca pieszczoty
Cudnymi się mienią kolory:
To, goniąc za słońcem, sinieją z tęsknoty,
To błysną rumieńcem Aurory;

To znowu zaświecą, jak płynne kryształy,
Odbite od niebios zwierciadła,
A potem z tęsknoty za słońcem zczerniały
I zwisły, jak senne widziadła.

Jak genjusz na skrzydłach ciemności, do rana
Zasnęły w tem nocnem powiciu,
By znowu, gdy błysnie jutrzienka rumiana,
Uśmiechnąć się słońcu i życiu.

PIEŚŃ WSZECHPIĘKNA

Czy zawisnę u szczytu, jak ptak srebrnopióry,
Wzniesiony nad granity i szumne kaskady,
Czy zabłądzę kometą w gwiazdziste gromady,
Słyszę pieśń wiekiustą Wszechpiękna natury.

Pieśń, co dźwięczy na harfie słonecznej purpury,
Złoci pola i niwy, użyźnia osady,
A ulatując kędyś na gwiazd pelejady,
Na słoneczne kosmosu rozplywa się chóry.

O, przepięknaś jest pieśni, jak baśń czarująca,
Co we mgłach się unosi nad łąk aksamitem,
Pięknaś od gwiazd złocistych do mórz głębokości;

Jest tylko jedna plama na tle twego słońca,
Jest dźwięk, co pośród pieśni odzywa się zgrzytem,
Wśród harmonji Wszechpiękna — dyssonans ludzkości.

DWIE DUSZE

„Człowiek ma duszę wieczną, nieśmiertelną w ciele“.
Tak, wierzę w to niezłomnie; w ciał ludzkich popiele
Musi być jakaś iskra, co martwe ciał głązy
Ożywia i rozdzwięcza w skrzydlate wyrazy,
Daje nam chęć do czynu, energję i wołę,
Byśmy nie wyginęli na ziemskim padole.
Jakaś siła być musi, co z prochu cmentarza
Buduje nowe światy, nowe życie stwarza
Na przeżytej ludzkości wyschniętym popiele.
Tak, ja wierzę, lecz dodać się jeszcze ośmielę,
Że człowiek prócz tej iskry, co rządzi z ukrycia,
Która czyni go tylko cząsteczką Wszechżycia,
Musi mieć w sobie jakąś nadziemską potęgę,
Co mu każe zaglądać w tajemniczą księgę
Praw natury, żrenicą dosięgać dna morza,
I wylatać na skrzydłach w powietrzne przestworza;
Że w człowieku prócz iskry, tlejącej z popiołów,
Jakaś jasność być musi niebieskich aniołów,
Co martwe ciało ludzkie i duszę okola,
Jak z niebieskich poczęta blasków aureola,
Która gdzieś nas na skrzydłach unosi i każe



Na lazurach słoneczne budować ołtarze,
Abyśmy, żarem tęsknot, duchem podniesieni
Do zenitu, na kanwie słonecznych promieni
Snuli przędzę swej duszy w przecudne kolory.
Jakaś siła być musi, co nędzny i chory
Proch człowieka ożywia, która go przetwarza
We władnego uczuciem najgłębszem mocarza,
Dając mu klucz tajemnej uczucia skarbnicy —
Uczy kochać; lecz kochać nie sercem samicy,
Poddającej się prawom powszechnym istnienia,
Ale miłością wielką, co serce przemienia
W jedną harfę, grającą liljowemi tony,
Która świat cały każe silnemi ramiony
Uściskać i ukochać. Miłością, co tworzy
Nowe światy uczucia z barw tęczy i zorzy,
Która, jasne boskości przywdziawszy nam szaty,
Porywa i unosi w tajemne zaświaty.

A GDY DLA MNIE

A gdy dla mnie tylko serce twe zabije,
Gdy się dusze, jak anielski złączą chór,
Wtedy gniazdo niebotyczne ci uwiję,
Gniazdo orłów wśród skalistych dzikich gór.

Ach, zaciasno wtedy będzie na tej ziemi
Dla miłością przepełnionych naszych dusz;
W świat ulecim, a skrzydłami złocistemi
Zajaśniejem nad zielonem pasmem wzgórz.

Wzniesiem się, gdzie świeci dla nas nowe zorze,
Zorze jasne, jak słonecznych ogni żar;
Ja skarbnicę mojej duszy ci otworzę,
Z skarbów serca ci królewski złożę dar.

Wtedy ruszą wody śpiące, kryształowe,
Zroszą duszy przesłoneczny, złoty łan,
Zgaszą słońca, zaćmią nieba lazurowe
I w odmęty nas pogrążą swoich pian...

Wtedy olśnie cię przepychem nowych światów,
Wskażę wrota do świątyni uczuć mych,

Gdzie wśród ognia i kadzideł aromatów,
Spełniać będę boski kielich kwiatów twych.

Ja przystroję twoje czoło barwną tęczą
I ołtarze całopalne wzniosę ci,
Złote chóry trąb ofiarnych nam zadźwięczą,
Ja kapłanem, a ty bóstwem będziesz mi!

Z gwiazd złocistych i porannych zórz promieni
Wysnujemy przecudowną życia nić;
Nie! my tylko nimbem tęczy okoleni,
Sny cudowne, sny rozkoszne będziem śnić!...

ZBOCZYŁEM Z GOŚCIŃCA

Zboczyłem, jak jaskółka od pasma jesieni,
Z gościńca, wiodącego ku śmierci granicy;
Wyprysnąłem ku niebu, jak kropla krynicy,
By zaigrać brylantem wśród słońca promieni.

Aby zabłysnąć rosą pośród łąk zieleni
I popłynąć na falach złocistej pszenicy,
A gdy słońce zagaśnie, wśród burz, nawałnicy
Zapalić pieśni tęczę wśród deszczu strumieni.

O ludzie, co dążycie gościńcem pogodnym,
Gdzie słyhać dźwięk złotego przeznaczenia rogu;
Ludzie trzeźwi, rozsądni! nademną niegodnym

Śmiejcie się, lecz nie sądzcie, kto z pośród nas błędzi,
Bo każda droga wiedzie do wieczności progu,
Kędy śmierć nas pojedna, a przyszłość osądzi!

SONET

(tłom. z A. Musset'a)

Dużo rzeczy kochamy z tej ziemskiej niziny,
Nim poznamy, w czym więcej rozkocha się serce:
Słodczy, morza, góry, niebieskie kobierce,
Kobiety, kosztowności, róże czy wawrzyny.

Depcemy świeże kwiaty, jak serce dziewczyny,
Łzy lejemy w pożegnań i tęsknot rozterce,
Potem, nim się spostrzeżem, starzeje się serce,
A zły skutek nam każe potępić przyczyny.

Ze wszystkiego, co człowiek zażywa na świecie,
Najlepszą stara przyjaźń. Życie nas rozprasza,
A gdy przypadek kiedyś drogi nasze splecie,

Uściśniemy swe dłonie, czując w głębi duszy,
Żeśmy zawsze szli razem, i że przyjaźń nasza
Jest jak duch nieśmiertelna, i czas jej nie ruszy.

Tłom. z francuskiego

Próżne życie jest i płoche :
Trochę serca, słodkich słów,
Nienawiści skrytej trochę,
Potem : żegnaj, bywaj zdrów!

Krótkie, krótkie życia drogi:
Trochę marzeń w świetle zórz,
Trochę złud, nadziei błogiej
I wieczorna pora już...

PIEŚŃ STRUMIENIA

Przez dzikich granitów Tatrzańskich ubocza,
Przez ciemne zielenie wąwozów i hał,
Unosi strumyczek wód czystych przeźrocza
Z szemraniem tajemnem srebrzystych swych fał.

Jak w jasnym zwierciadle, w wód czystym kryształe
Odbija wierzchołki piętrzących się gór,
W dzień z blaskiem słonecznym zaigra wspaniale,
A w nocy nań księżyc spogląda z za chmur.

Daleki od ludzi, na ziomie granitu
Usiadłem. Z falami strumienia mój duch
Odpłynął w zamglone otchłanie niebytu,
I cały w strumieniu pogrążam swój słuch.

I słyszę, jak przez sen, te szepty, rozdzwięki,
To znów bulgotanie pieniających się fał,
Wesołe, jak fletów pastuszych piosenki,
To jakby bezdenna tęsknota i żal.

Wtem cisza. Już zasnął wśród ciszy poranka,
Jak wąż posrebrzysty wśród krzewów i pni;

Jak młoda dziewica na łonie kochanka,
Co w mgłach upojenia rozkoszne sny śni.

Znów zbudził się. Z piany otrząsnął swe oczy,
Jakby do przestrzeni, do słońca się śmiał,
Odetchnie i szumniej swe fale potoczy,
Jakby się chciał wyrwać z więzących go skał.

Zaszumiał, jak wichher przez pola i jary,
Co wróży wschód słońca, wiosennych dni cud;
Znów ciszej, tajemniej, jak w mrokach pieczary
Szemranie złowieszcze sączących się wód.

I ciszej: jakgdyby z boskiego zachwytu
Chciał strasznych tajemnic powierzyć mi czar,
I z wód rozetkanych ciemnego błękitu
Przeboski chciał złożyć u nóg moich dar.

A potem zasyczał pienistym odmętym,
Jak gadów podstępnych wijący się kłęb
Wśród skał. Zawirował piętrzącym się skrętem,
Jakby w ciemniejszą chciał porwać mnie głąb.

I wyżej. Już piersią mnie swą złotopienną
Porywa, jak halny Tatrzańskie mgły wiatr:
O, porwij mnie, unieś na przestrzeń bezdenną,
Bo duszno mi tu jest i ciasno wśród Tatr!

O, ponieś mnie tam, na zamyśleń pustynie,
Na toń oceanów błękitnych i móż,
Gdzie duch się, jak nurty twe modre rozplynie,
Na wieczność i w bezkres ciągnącą się głusz.

STWORZYŁEM ŚWIAT NOWY...

Stworzyłem sobie świat własny, świat nowy
Na szczytach myśli, we mgłach urojenia,
Kędy wleciałem na skrzydłach tworzenia,
Zerwawszy świata przyziemne okowy.

Tu wzniosłem własny swój strop lazuruowy
I zapaliłem swe gwiazdy marzenia,
Tutaj czarownym hymnem ukojenia
Zapachną uczuć kwieciste dąbrowy.

Tu, ludzkich tęsknot przeszedłszy granicę,
Pragnę, rozkosznie zmrużywszy powieki,
Szczęścia, miłości wyczerpać krynice;

W tym świecie cudów i rojeń tysiąca
Chciałbym w śnie słodkim pozostać na wieki,
Tylko mi braknie jasności i słońca!

KULT PIĘKNA

Czem-że jest szczęście? jest tylko złudzeniem,
Kometą błędną wśród gwiazd aksamitu;
Rozkosz, użycie jest pełnią przesytu,
A śmierć — tragicznem po śnie przebudzeniem.

Czem-że jest miłość? jest tęczy promieniem,
Złud fajerwerkiem wśród duszy błękitu;
Dotąd przedmiotem jest szczęścia, zachwyty,
Dopóki tylko jest sennem marzeniem.

Więc czyż nie na to ma dusza skrzydlata
Spadła ze słońca na znoje i trudy,
Abym był cząstką harmonji Wszechświata?

Bym głosił Piękno ze swym Stworzycielem?
Bo wszystko w świecie jest tęczą ułudy,
A tylko Piękno jest szczęściem i celem.

HEJ, ZANUĆ ŚPIEW

Hej, zanuć śpiew, młodości zew
Uwolnij z ciasnych wrót;
Złóż skrzydła swe, obetrzyj łzę
I uwierz w życia cud.

Uczucia twe i Bożą skreę
Zwolniwszy z górskich łon,
Na życia zew rozpętaj krew
I bij w radosny dzwon.

A z orlich gniazd i marzeń gwiazd
Rozkoszny utkaj płaszc;,
Złociste sny, tęczowe mgły
Orkanem szału zmiażdż.

Gdy, wierząc w cud, przez szkiełko złud
Radośnie spojrzysz w świat,
To ujrzysz z pian wykwitły łąn,
Gdzie szczęścia zerwiesz kwiat...

OBRAZEK

Jak dwa boa, co grzbietów połyskując złotem,
Rzucą się i szamocą w śmiertelnym uścisku,
Tak dwa węże pociągów wśród iskier przeblysku,
Zderzyły się z piekielnym huraganu grzmotem.

I zmagaly się z jękiem, miażdżącym druzgotem,
Jak kłębiące się trąby w morskiem uroczysku;
Czas jakiś dygotały w piętrzącem zwalisku,
Aż runęły na ziemię z złowieszczym łoskotem.

Tu słycać jęki rannych, zebrzących pomocy,
Tu zmiażdżony wzrok błędny pod niebo podnosi
I szamota bezsilny w objęciach niemocy.

A ponad tej śmiertelnej piramidy szczytem,
W kłębach dymu czarnego biała śmierć się wznosi
I ogłasza błękitny tryumfu skowytem...

MEDYTACJE

I.

Gdy posłuchasz się głosu serca swego bicia
I, wiedziony młodzieńczą potęgą zapału,
Chcesz zbudować gmach nowy, gmach nowego życia
Z marmuru wytrwałości, z blasków ideału,
Jakaś siła cię wtedy pociąga z ukrycia,
Nieprzeparte pragnienie rozkoszy i szału:
I, gdy widzisz przed sobą jasności zaranie,
Czujesz próżnię za sobą i ciemne otchłanie.

II.

Im bardziej twoja dusza się szczęściem rozproszy,
Rozpływając się tęczą na toń lazurową,
Im wyżej się uniesiesz na skrzydłach rozkoszy
I zenitu miłości dosięgniesz swą głową,
Tym bardziej pod ciężarem rodzinnej się noszy
Pochylisz i upadniesz pod taczka życiową;
Więc kiedy człowiek marzy o szczęściu, o niebie,
Czy nie ziemia go matka przyciąga do siebie?

III.

Jeśli ci nędza życia i pustka obrzydła,
I pragniesz myślą sięgnąć w słoneczne wyżyny,
A, rzuciwszy złud ziemskich kuszące mamidła,
Wylatujesz gołębiem pod strop modrosiny,
Życie ogniem niemocy opala ci skrzydła
Zatumania ci błękit i strąca w niziny.
Więc, gdy ufne ku słońcu wyciągasz ramiona,
Czy nie ziemia cię matka przygarnia do łona?

IV.

Boś jest cząstką z jej łona, z życia pierwotworu
Wydartą, jako karta z Wszechstworzenia księgi,
W którą słońce zamknęło iskierkę potęgi,
Dając w rękę miecz myśli, jak ostrze toporu.

Więc, gdy oczy twe pragną harmonji, koloru,
Chcą w obręby stworzenia roztoczyć swe kręgi,
Twe ciało pod balastem życiowej siermięgi
Cięży w dół — do istnienia swego pierwowzoru.

Całe życie człowieka jest walką żywiołów,
Potajemnem zmaganiem sił ludzkiej natury,
Zła i dobra — jasności z ciemnością padołów;

Śmierć jest duszy zwycięstwem, jest wzlotem do góry,
Powrotem do harmonji, na bezkres słoneczny,
Gdzie jest źródło istnienia i cel ostateczny.

WE MGLE WSZECHSTWORZENIA

O, chciałbym lecieć gdzieś, w świat cudny i uroczy,
Zerwawszy skrzydłem swem złoty życia sznur,
Z orłami wznieść się hen, nad szczyty dzikich gór,
Jak liść, co z burzą się w nieznaną dal potoczy.

Tam bujać chcę wśród sfer, jak jasny duch proroczy,
Słuchając pieśni gwiazd, zapląsać z wieńcem chmur,
I zestrzeliwszy me uczucia w jeden chór,
We Wszechstworzenia mgłę pograżyć moje oczy.

A ręką sięgnę tam, gdzie myśli ludzkich gońce,
Jak roje złotych gwiazd nad świata płyną zrab;
Ja wszystkie gwiazdy te rozpalę w jedno słońce

I, zbrojny w potęgę moc, od ziemi do błękitu,
Rozświetlę nim choć raz tajemnic ciemną głąb,
Zanim pograżę się w wszechwładny mrok niebytu!

W SAMOTNOŚCI

Wesoła płynie pieśń. Przez mętne życia fale
Zwodniczy trzyma ster żeglarzy barwny tłum;
Puharów słycać brzęk. W pijanych zmysłów szale
Wokoło tańczy świat — jam pełen dum!

Nad rojem barwnych róż, nad wonne ust kielichy
Motyli barwny rój zakrąży tu i tam;
Wkrąg zakochanych szept rozkoszny słycać, cichy,
Jam tylko jeden sam, ach tylko sam!

Skinieniem zwała mnie niebianka złotokosa:
— „Pójdź, rzekła, żarem ust rozjaśnim naszą noc;
U nóg kobiercem gwiazd rozścielę ci niebios
I duchów zrównam ci anielskich moc!“

I długo stała tak, jak cud obiecująca,
Trzymając złoty klucz rozkoszy jasných bram,
Lecz jam posłuchał drgnień strun ducha mego słońca
I wśród gasnących zórz — zostałem sam.

O ludzie, bawcie się, weselcie się dowoli,
W świątyniach waszych bóstw składajcie hojny dar,
A pieśnią dwojga serc wśród szczęścia aureoli,
Zagłuszcicie tęsknot swych słonecznych żar.

Lecz ja — zostanę sam. I zawsze za żywota
Cienistym będzie mi dumania mego chram,
I zawsze będzie mi siostrzycą mą tęsknota,
I wśród gasnących zórz — zostanę sam!

ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE

Lubię Łazienki w pełnej majestatu chwale ;
Gdy drzemiące je widzę we słońca purpurze,
Zda się, że drogie Tatry widzę w minjaturze,
A wokoło Tatrzańskie zielenieją hale.

Na różnobarwnych klombach, rzucone niedbale,
W upajającej woni drzemią dumne róże,
I, jak w szkle, przeglądając się w jasnym lazurze,
Odcieniem barw precudnych igrają wspaniale.

A gdy już kryształowe drzemią senne wody,
Otułone woalem cienistej kotary,
Widać nimf pływające w gąszczach korowody ;

Faun figlarny rozkoszną im czarę naleje,
A, kołyszając je do snu cudnymi fanfary,
Niedalekiej przeszłości opowiada dzieje...

DO ARTYSTKI

poświęcony Pannie Jadwidze Pileckiej

Gdy rozpuszczasz twe palce, jak stado sokołów,
I pieścisz nimi harfy złotostrunnej hordy,
Wtedy, jak wichry złote, jak chóry aniołów,
Płyną w światy dalekie twe dźwięczne akordy.

Wtedy duch twój świetlany zrzuca swe zasłony
I na skrzydłach tęczowych ulata w przestwory,
Kędy w nieskończoności toną gwiazd miljony,
I kędy błyskawiczne świecą meteory.

I płynie twojej pieśni czarowna muzyka,
Falując nakształt zboża dojrzałego łanu,
To upojna i cicha, jak szepty strumyka,
To znów głośna i dzika jak pęd huraganu.

A w błyskawicach dźwięków i akordów wieńcach
Widzę, kędy się księżyc chowa w pozachmurze,
Widzę zorzę poranną w dziewiczych rumieńcach
I zachodzące słońce w królewskiej purpurze.

Widzę jakby poranne niebiosa przejrzyste,
Gdzie twych marzeń słonecznych się szczyt ucieleśni,
To nad światem zamglonym sklepienie gwiazdziste,
Przepasane złocistą wstęgą twojej pieśni.

O graj, władczyni tonów, aż po świata kraniec!
Wznies sobie tron świetlany wśród dźwięków przestrzeni,
Wysoko podnieś sztuki płomienny kaganiec
I panuj tam, jak słońce wśród swoich promieni!

NAD OCEANEM ŻYCIA

Jak mewa, nad ocean wzniesiona burzliwy,
Tak mi się czasem zdaje, że ja ponad światem
Egzotycznym ku słońcu wybujałem kwiatem,
Zdanym na burz niszczących śmiertelne porywy.

Dookoła ludzkości pozłociste niwy
Uśmiechają się szczęściu słonecznym szkarłatem,
Ja śpiewam hymn upojny myśli aromatem
Hymn potężny, jak orkan, jak słońce pieściwy.

Lecz zawierucha życia me płatki obrywa,
I nowa myśl z każdego, nowa pieśń się rodzi,
Płynąc nad ludzkie niwy, upojna i tkliwa.

Czuję, że stracę liście, wyśpiewam swą duszę;
Lecz, choć mi wicher zagłady nad uchem zawodzi,
Ja śpiewać będę wiecznie, bo pragnę, bo muszę!

IMPROMPTU

poświęcony Pani Klarze Czop-Umlaufowej

Jak gołębie, gdy tylko się świt zarumieni,
Przebudzone, kaskadą rozprysną się jasną
I, igrając na harfie słonecznych promieni,
To zaświecą, jak gwiazdy, to znowu zagasną;
Jeszcze raz brylantami olśniwszy nam oczy,
Stopią się, jako gwiazdy wśród rannych przezroczy:

Podobnie moje palce, kształt jasnych gołębi,
Utonęły w srebrzystej klawiatury wstędze,
A kołysane wichrem uczuć moich głębi,
Ze strunami w powiewną zaplotły się przędzę,
Aby z niej, jako potok z gór śnieżnych kobierca,
Żarem piersi wysączyć pieśń duszy i serca.

O, płyn, pieśni ma słodka! Płyn jasnym aniołem,
Co, wzlatując nad mroczne ludzkości obszary,
Niby skrą błyskawicy, rozświetla je czołem
I ożywia je dźwiękiem srebrzystej fanfary;
A dochodząc najgłębszych tajemnic istnienia,
To wznieca gwiazdy śmierci, to słońca zbawienia.

A gdy czołem potężnem zenitu dosięga,
Wtedy skrzydeł polotem gasi słońce myrjady;
I dziwuje się jemu niebiosów potęga,
A w milczeniu słuchają gwiazd senne gromady.

*

Precz mi, świecie uludy! Ja ręce rozszerzę
Od otchłani Erebu po słońce wschodzące;
Wszystkie brzmienia, poczęte w kosmicznym eterze,
Powyzbieram, powiążę, jak kwiaty na łące,
I, jak duch Wszechmelodji, wylecę z tych cieśni
Tam, gdzie wolniej, przestrzenniej będzie mojej pieśni,
Gdzie ma pieśń, jako orzeł nad wichry i noce
Wyniesiona, potężnem skrzydłem załopoce.

Płynie pieśń moja świetlana,
Jak mgła, wiatrem kołysana,
Co po rosie płynie zrana
 I wierzchołki muska drzew;
Płynie, jak motylków roje,
Co przez kwiaty i powoje
Włóczą lekkie skrzydła swoje,
 Jak Zefiru lekki wiew.

Błyskawicznym ruchem ręki
Płyną pieśni mojej dźwięki,
Jak słowiczych stad piosenki,
 Co z szelestem cichym piór,
W noc pogodną, księżycową
Pieśń upojną i echową,
Srebrnodźwięczną, kryształową
 W precudowny łączą chór.

A teraz moje palce, jak jasne pioruny,
Jako sokół na stado wędrownych gołębi,
Na złociste mej harfy opuszczają się struny;
Niech ma pieśń, jako wichry, tumany zakłębi,
Zawiruje po łące, zapłąsa po lesie,
Ponad niwy się deszczem ożywczym poniesie,
A świat niechaj z przesądów otrząśnie się pleśni
I niechaj w takt zapłąsa dźwięków mojej pieśni!

Jak szumiący grad jesieni,
Co wśród nocnych mgieł bezdeni
Po gałązkach i zieleni
 I po liściach trzaska drzew;
Jak wśród głuchych puszczy ciemnicy
Wyją wichry nawałnicy,
Pośród grzmotów, błyskawicy,
 Tak mej duszy płynie śpiew.
Drżą me palce, jęczą struny:
Jak wśród niebios krwawe łuny,
Jak wśród czarnych chmur pioruny,
 Jak cmentarnej nocy jęk;
Błyskawicznym ręki chwytem,
Z beznadziejnym jękiem, zgrzytem,
To z szatańskim znów skowytem
 Płynie pieśni mojej dźwięk.

Teraz w akord uderzę potęgi i mocy!
Niech płynie w nieskończoność mój hymn niebosiężny!
A wszystkie uczuć głębie i piękna Wszechmocy
Niech wystrzelą ku górze, jak wulkan potężny.
Ja słonecznem zarzewiem mej pieśni zabłądzę,
Kędy prysną przedemną niebieskie wrzeczadze,

Gdzie z gwiazdami zanucę hymn wielki — tworzenia,
Jak spizowy jęk dzwonów, jak pieśń przeznaczenia!

Już wśród planetarnych torów
Złotym deszczem meteorów
Płynie pieśni mojej ton;
Wśród przestrzeni nieskończonej,
Drogi mlecznej, posrebrzonej,
Jak naziemski huczy dzwon.

Lecę, pędzę z traskiem, hukiem,
Mijam gwiazdy jasnym łukiem,
W niezgłębioną płynę dal;
Płynę w złotej gwiazd koronie,
Na ognistym płynę tronie,
Pośród dźwięków moich fal.

Za mną, za mną — gwiazd legjony
Przez ocean niezmierny
Do wieczności płyną bram:
Precz mi króle i senaty,
Precz mi, ziemskie potentaty,
Ja tu tylko władzę mam!

Ja wśród dźwięków swych króluję,
Głosem grzmiącym rozkazuję
Wśród spizowych ryków trąb,
Gwiazd ogniste huragany
Ruchem ręki puszczam w tany
I wyrzucam w ciemną głąb.

— Lećcie ognie huraganów,
Wśród zawrotnych piasów, tanów,
Płyńcie, ile starczy sił:
Zniszczę, spalę ludzkie plemię,
Gradem gwiazd rozmiążdżę ziemię
I obrócę w proch i pył!...

A na gruzach ludzkości, w tym ciemnym bezkresie
Pośród ognia pożarów i zgliszcz krwawych stosu,
Niechaj duch mojej pieśni, jak sęp się uniesie,
A tlejące tam iskry w płomienie rozdmucha:
Może z zgliszcz i bezładnych odmętów chaosu
Nowy świat się narodzi — świat Piękna i Ducha!

UŚMIECHAŁO MI SIĘ SZCZĘŚCIE

Uśmiechało się szczęście i ku mnie
Z poza lasów zielonych i wzgórz
I szło do mnie wesoło i szumnie,
Jako słońce, wschodzące wśród zórz.

I szło do mnie przez nocy ciemności
Z gałązkami jaśminu i bzu,
By kochaniem, co w sercu zagości,
Ukołysać do szczęścia, do snu.

Lecz gdy w serce zajrzało me krwawe,
Co samotne się skarży i łka,
Owinęło się w gęstą kurzawę
I zniknęło w czeluści bez dna...

DO POEZJI

Fundamencie harmonji, Wszechpiękna podmurze,
Poezjo! Tyś jest morzem bez kresu, bez końca,
Gdzie wpada uczuć ludzkich kaskada szumiąca,
Więcem róż złotopiennych tryskając ku górze.

Tyś jest, jako ta tęcza barwna na lazurze,
Co powstaje i igra promieniami słońca;
Tyś jako pieśń mej duszy głębi czarująca,
Co, mimo burz szumiących, płynie w ponadchmurze.

Poezjo! ty na niebie życia mego głuszy
Rozniecasz gwiazd miliony, nadzieją promiennych,
Ty srebrzysta melodjo, co pieścisz me uszy

Podczas dni przesłonecznych i nocy bezsennych;
O, świeć na wysokościach gwiazdzistych mej duszy,
Jak drogocenna perła wśród głębi bezdennych!

ROZMOWA Z BOGIEM

Dałeś mi, Panie, i lądy, i morza,
I oceany w bezkresie szumiące,
Wzniosłeś nademną niebieskie przestworza
I zapaliłeś mi gwiazdy i słońce,
A mnie wybrałeś z tysięcy tysięcy,
Ale ja pragnę, ja jeszcze chcę więcej!

Wzniosłeś wszechświata mi gmach kryształowy,
Potęgą piękna bijący w zenity,
Usłałeś w dole zielenią dąbrowy,
Sklepienie wsparłeś na gwiazd aksamity,
A ściany, lśniące błękitem i tęczą,
Tkaniną słońca oplotłeś pajęczą.

I drzwi otwarłeś w niebieskie przestwory,
Skąd zsyłasz co dnia zmartwychstań nadzieję,
Gdzie każde rano mi ręka Aurory
Otwiera słońca złociste wierzeje,
Zsyłając uśmiech beztroski dziewczęcej,
Ale ja pragnę, ja jeszcze chcę więcej!

Dałeś mi drogi, do rajy wiodące
Przez łąk kwitnących i zbóż oceany,
Tam, gdzie za chmury nie kryje się słońce,

Gdzie, jak ten błękit pogodny, lustrzany,
Czekają na mnie miłości rozkosze,
Lecz ja o więcej, o więcej Cię proszę!

Często wśród życia srożącej się burzy
Duch mój, pochmurny, zamyka się w siebie,
A gdy się szczęściem horyzont rozchmurzy,
Zapalasz tęczę stubarwną na niebie;
I choć radośnie mi wicher zaszeleszcze,
Ja więcej pragnę, ja więcej chcę jeszcze!

Dla mnie zwierzęta dałeś użyteczne
I ożywiłeś mi łąki, i knieje,
I wód głębiny, a orły słoneczne
Puściłeś wichrem na śnieżne zawieje;
Dla mnie tworzenia okryłeś się chwałą,
Ja jeszcze pragnę — i jeszcze mi mało!

Dajesz mi, Boże, dosięgać wyżyny
I myślą, sercem pogrążyć się w niebie,
Skąd widzę ducha zakłętą krainy
I strzałą myśli dosięgam do Ciebie;
Ale, gdy spojrzę w otchłanie złowieszcze,
Ja więcej pragnę, ja więcej chcę jeszcze!

Ja chcę rozpostrzeć w cztery świata końce
Swe skrzydła; świata poruszyć posady;
Blaskiem natchnienia zagasić chcę słońce,
A myśl rozproszyć na gwiazd pelejady;
I, wzięwszy władzy królewskie orędzie,
Wzrokiem chcę sięgnąć za świata krawędzie!

KIEDY WŚRÓD BÓSTW

Kiedy wśród bóstw mych tajemnych ołtarzy
Poświęcam wonne kadzidło i złoto,
Duch mój, owiany wszechwładną tęsknotą,
O ziemskim szczęściu, o miłości marzy.

I gdy myśl moja na skrzydłach się waży,
Jak orzeł, lśniący słoneczną pozłotą,
Mgła tęsknot błękit mi skrywa i oto
Zaćmiewa blaski mych bóstw luminarzy.

I zdaje mi się, że myśli me płyną
Jak strumień błędny, do bram przeznaczenia
Jakaś niezmierną, kwiecistą równiną;

Lecą, jak orły do tajnej krynicy,
By, jako orły na skrzydłach z promienia
Zniknąć pod słońcem wśród chmur Tajemnicy...

BYĆ POETĄ

Tłom. z Georges Boutellau'a

Być poetą — to kochać nad życie
Malujące nam świat ideały,
Słońce, miłość i róże w rozkwicie,
Co się rodzą dla szczęścia i chwały.

Być poetą — to czuć całą głębię
Serca, uczuć rozpostrzeć znamiona,
Dla maluczkich mieć serce gołębie,
A dla świata — otwarte ramiona.

Być poetą — to cierpieć katusze
I nadzieji uwieńczać się kwiatem,
I po stokroć oddawać swą duszę,
Nie rozstając się nigdy ze światem.

POPRZEZ WONNE ZAGAJE, WIOSENNE ROZTOPY

Poprzez wonne zagaje, wiosenne roztopy,
Śnieżne góry, przepaście biegnę w jasne dale,
Podążam w jakimś niemym upojenia szale,
Kędy wiedzie mnie boska postać Kalliopy.

Widzę ją, jak spowita we światła potopy,
To się chowa w obłoków srebrzyste woale,
To mi się w całej krasie zjawia okazale,
Znacząc ślady złociste dotknięciem swej stopy.

I kędy mnie zawiedziesz, ty boska zwodnico,
Kochanko snów dziecięcych? Czyli do ogrodu,
Gdzie swych czarów nieziemskich mnie uśpiśz krynicą?

Czy, rozwiawszy się tęczą we blaskach zachodu,
Zostawisz samotnego w odwiecznym onem,
Abym płakał nad rajem i szczęściem straconem?

MROCZNY SEN

Tłom. z Paul Verlaine'a

Jakaś senność mię ciemna uwieńcza,
Życie całe i świat mi zacienia:
Śpij, ma złota nadziejo młodzieńcza,
Śpijcie słodko me wszystkie pragnienia!

Już nie widzę niczego i nie wiem,
Co się złem, a co dobrem nazywa,
Już mi pamięć nie błyska zarzewiem,
Tylko smutek me piersi rozrywa...

Zdaje mi się, że jestem kołyską,
Co się ręką tajemną kołysze,
I zapadam się gdzieś — w uroczyisko,
W jakąś nicość półsenną i ciszę...

POCALUNEK NATURY

I zrozumiały się nasze serca
Jednym głębokim westchnieniem,
I zapaliły się nasze usta
Jednym gorącym płomieniem.

I zespoliły się nasze dusze
Uczuć tajemnych wylewem,
Jak dwa na niebie chmur pióropusze
Pod jednym wiatru powiewem.

I płyną, płyną w cudne zespoły
Uczucia wrzące strumyki;
O, tańczcie, drzewa, tańczcie, żywioly,
W takt serc czarownej muzyki!

O tańczcie, drzewa, tańczcie, żywioly,
Swoje zawrotne kankany:
Słodko, jak tańczą z nieba anioły,
Wściekle, jak tańczą szatany!

Niech się kołyszą łąki i zboża
Falą radosną dokoła,
Jak naszych piersi wezbrane morza,
I pieśń niech zabrzmie wesoła.

A my na złotym uczuć rydwanie
Pomkniemy w nieznane światy,
Tam, gdzie wzrok ludzki sięgnąć nie w stanie,
Gdzie kwitną miłości kwiaty...

PIOSNKA TURYSTY

A gdy pieśnią zbudzone jutrenki
Uśmiechnęły się słońcu granity,
Wziąłem ostrą ciupagę do ręki,
A przedemną mój szczyt ponad szczyty.

O, ponieście mnie, bystre me nogi,
W niewstrzymanym, wichrowym rozpędzie
Tam przez śnieżne przełęcze, rozłogi,
Przez śmiertelnych przepaści krawędzie!

I ty ponieś mnie, duchu skrzydlaty!
Ponieś mnie przez wysokie przełęcze,
Kędy śniegu słoneczne pryzmaty
W różnobarwne rozprysną się tęczę,

Gdzie świat słońca promienny, szczęśliwy
Roziskrzoną połyska się stalą,
I gdzie ziemi ocean burzliwy
Przeolbrzymią kołysze się falą.

A gdy orłem zawisnę na szczycie,
Wzrokiem kręgi szerokie wyznaczę,
To we mglistym oddali błękicie
Może moją najdroższą zobaczę...

O, NIEPAMIĘCI!

O, niepamięci sennej przeboski nektarze!
Gdy rozpływam się w blaskach twojego uroku,
Zda się, że w mgieł błękitnych przejrzystym obłoku,
Rozkołysany wiatrem, śnię słodko i marzę.

I niebosiężne ducha buduję ołtarze
Pośród lazurów płynnych, na niebiosów stoku;
Ku mnie Jutrzenka złota w słonecznym potoku
Kroczy, przy trąb porannych precudnej fanfarze.

I płynę w dal niezmierną. Drzemią połączane
Promienną ręką słońca przejrzyste lazury,
I postrzępione chmurki, złotem haftowane.

Lecz oto horyzontu szarzeje przejrzystość,
Uśmiechnięty krąg słońca zasłaniają chmury,
I w otchłanie mię ciemne strąca Rzeczywistość...

WIZJA NA ŚWINICY

Błądząc samotny wśród skalnych kolosów,
Gdzie szumią cicho Tatrzańskie smereki,
Myślą odbiegłem w kraj cudny, daleki,
W kraj łąk przestrzennych, błękitnych niebiosów,
A pragnąc blasku i natchnień krynicy,
Wzleciałem orłem na czoło Świnicy.

Cudna kraino nieziemskich mirazy!
Wyspo bezludna nad chmur oceanem!
Tutaj, jak sokół, co w słońcu zaważy,
Duszy mej jestem sam władcą i panem.
Stąd hen, na północ wyciągnę swe dłonie
I do ojczyzny za wichrem pogonię.

Pytam się orłów, lecących z północy,
Jakie z ojczyzny przynoszą mi wieści,
Pytam się wiatru, co w mglistej karocy
Złowróźnie jakoś koło mnie szeleści
I, snując przedzę obłocznych przestworzy,
Błękitną otchłań przedemną otworzy.

Wyteżam oczy: tam w blasku jutrzeńki
Widzę drzemiące ojczyste swe łąny
Wśród martwej ciszy. I tylko piosenki
Wojenne słyszę przez chmur oceany;
Widzę swe miasta ojczyste i sioła,
A wszędy cisza cmentarna dokoła.

Lecz cóż od Wschodu za potworna chmura
Zaćmiewa słońca promieniste zorze?
Cóż to za czeluść zachłanna, ponura
Wyciąga łąpy w słoneczne przestworze?
Na krwawem czole, wśród burz nieboskłonu,
Z krwawych piorunów ma gwiazdę Syonu.

Już piorunami wyniszcza me łąny,
Zaćmiewa błękit i słońc firmamenty
I nieszczęśliwy mój kraj ukochany
W strasznych ciemności pograża odmęty,
A wśród zamętu, wojennej fanfary
Krwawią się łąny i groźne pożary.

Już orkan bólu, bezdennej rozpaczey
Gorącą falą rozteńnił me skronie;
Świat cały, zda się, przedemną majaczy,
I rychło w bezdni wraz ze mną zatonie;
A niebo w smutną się skryło posnowę,
Od łez przymglone, od krwi purpurowe.

— Na toś nas, rzekłem, Boże zagniewany
Słońca wolności rozjaśnił rumieńcem,
Na toś nam łąki ozłocił kaczeńcem,
By zagojone rozjątrzać nam rany?

Czyś na to Polsce wskazał rąbek zorzy,
Aby zginęła, nim oczy otworzy?

O, chciałbym runąć potężną lawiną,
Aniołem śmierci w te ciemne szeregi;
Niech krwi ofiarnej strumienie popłyną
I jako morze co pędzi na brzegi,
Niechaj zaleją te szańce, zasieki,
A w końcu zginać, chcę zginać na wieki!

Lecz czyż na zawsze złociste cheruby
Wolności zmilkną w tej ciemnej topieli?
A może z ognia udręczeń i próby
Złoty przyszłości się kruszec wydzieli?
Czyż, kiedy słońce złociste zachodzi,
Ginie z niem wszystko w szkarłatnej powodzi?

A może jeszcze mi z nieba anieli
Wskażą w ciemności kędyś nowe zorze,
Błyszczące do mnie przez zwątpień rozdroże,
Jak błękit jasny w nawałnic topieli?

I oto widzę na chmur nieboskłonie
Wschodzące słońce wśród mglistych obszarów,
Słońce Nadziei w promiennej koronie,
Jak błędny ognik z nad łąki oparów,
A z drgnień słonecznych pieśń cudna popłynie:
„Kto ufa w siebie, ten nigdy nie zginie.“

„Nie zginie!“ chórem ozwały się bory,
Roznosząc echo radosnej nowiny;
Oto z promieni wschodzącej Aurory,

Z Nadziei słońca — nad mroczne doliny
Stają orężni i dzielni rycerze,
A każdy z słońca początek swój bierze.

Na czele tego zbrojnego orszaku,
Jakoby orła w orłów legjonie,
Widzę rycerza na dzielnym rumaku,
Co krwawym cierniem uwieńczył swe skronie.
Kolebką jego jest trud i męczeństwo,
A godłem jego jest śmierć lub zwycięstwo.

Za nim zastępy słonecznych rycerzy
Idą, spowite ognistym całunem,
A, jak ocean, co z miejsca wybieży,
Druzgocząc wszystko nawałnic piorunem,
Tak za nim kroczy hufiec niebosięzny,
Nadzieją mocny, a wiarą potężny.

Zadrgały lądów i mórz widnokreśli
Od słońca mego ognistej wszechmocy,
Drgnęły i spadły piekielne potęgi
W posępne kraje ciemności i nocy.

I oto z wojny odmętów i mroku
Jasny się z mgławic horyzont wyłania,
Kędy już wschodzi w porannym obłoku
Jutrznia wolności i dzień zmartwychstania.

A na mogiłach rycerzy swobody
Nowego życia zakwitną ogrody,
Hejnał zwycięski w świat pójdzie daleki,
Głośnem mu echem odezwą się wieki...

ZERWAŁEM LILJI PĄK

Zerwałem lilji pąk, kwiat lilji srebrnolicy,
Co wśród pachnących łąk wyrosła w cieniu drzew;
Zefirek pieścił ją, błędzący w okolicy,
I spijał słodycz ust, miłosny nuąc śpiew.

I pieścił ją do snu motyli rój skrzydlaty,
Do jej przymglonych ocz zalotne siejąc skry,
Lecz ona w sercu swem marzyła inne światy,
Pieściła wstęgą gwiazd przetkane złote sny.

O, dobrze było ci wśród ciszy zadumania,
Gdzie druhem był ci wicher, kochankiem każdy świt,
Lecz ja powiodę cię do rajy ukochania,
Gdzie wśród szkarłatnych róż swych pragnień ujrzysz
[szczyt.

W ogródku mym ja cię posadzę między astry,
Ogrzeję tchnieniem swem, różaną tęczą zórz,
Pod nieba wzniesiesz strop swych płatków alabastry
I panią będziesz mi, boginią moich róż!...

PAMIĘTAJ O MNIE

Tłom. z A. Musset'a

Pamiętaj o mnie, gdy jutrznia rumiana
Otworzy słońcu jarzące się wrota,
Pamiętaj o mnie, gdy noc zadumana
Ziemię woalem srebrzystym omota;
Gdy pragnieniem miłości drgające twe łono
Sny — marzenia wieczorne rozkosznie owioną
Wtedy w głębinie leśnych drzew,
Dyszających w nocnym śnie,
Usłyszysz w dal płynący śpiew:
„Wspominaj mnie!“...

Wspominaj, gdy nas, jak liście w jesieni
Wichr przeznaczenia po świecie rozprószy,
Gdy smutek, rozpacz me serce zamieni
W krzak róży zwiędły wśród pustki i suszy,
Myśl o naszej rozłące, o męce kochania,
Co zapomnieć o tobie na zawsze zabrania,
I póki serce moje drży,
Usłyszysz tam na dnie
Głos mego serca, mojej krwi:
„Wspominaj mnie!“...

Pamiętaj o mnie, gdy w ziemi wilgotnej
Me serce nieme na zawsze się złoży,
Pamiętaj o mnie, gdy kwiatek samotny
Na mej mogile uśmiechnie się zorzy;
Nigdy mnie już nie ujrzysz, lecz dusza ma wieczna
Wróci, stanie przy tobie, jak siostra serdeczna,
I wtedy w ciemnej nocnej głuszy,
Gdy spoczniesz w słodkim śnie,
Usłyszysz cichy jęk mej duszy:
„Wspominaj mnie!“...

MOTYW JESIENNY

Tłum. z Paul Verlaine'a

Smutny, niezmienny
Wicher jesienny
 Pierś mą przewierca,
Niema, straszliwa
Tęsknota sływa
 Do mego serca
Z wspomnień chaosu
Wyliczam losu
 Zmienne koleje,
Na sny prześnione,
Lata minione
 Gorzkie łyż leję;
Potem bez trwogi
Na wicher złowrogi
 Skrzydła rozłożę
I lecę, senny,
Jak liść jesienny
 W puste bezdroże.

ANIMAE FRATERNAE

poświęcony P. E. C.

Tęsknota była tą gwiazdą poczęcia,
Co ci świeciła w przedistnień godzinie,
Prawda i Piękno — dwie cudne boginie
Trzymały ręce nad główką dziecięcia.

I, szepcząc cicho słoneczne zaklęcia,
Serce twe, duszę, nim wiek twój przemienie
Zamknęły w cudnej, nadziemskiej krainie
Promieni słońca i gwiazdy poczęcia.

Odtąd, strącony z nad gwiazd firmamentu,
Jak ryba, w morskim zamknięta obszarze,
Szukasz dna Prawdy, powierzchni odmętu,

Gdzie wznosisz Pięknu słoneczne ołtarze,
Gdzie mgły ci będą wieczystą pościelą,
Pomnikiem — szczyty, co w słońcu się bielą.

CZASEM, BŁĄDZĄC METEOREM

Czasem, błędząc meteorom myśli, wzniecę na błękanie
Własne słońce, co swym blaskiem gwiazd myrjady mi
[zacienia;
Taki wówczas w moją duszę spływa czar jasnowidzenia,
Że przyszłości widzę obraz, jak zwierciadła wód odbicie.

Całą duszę mą zamykam w tamto słońce na zenicie:
Tam, zdaleka, gdzie Zachodu mrok się szary ubezdenia,
Nadciągają ciemne chmury, przyszłe troski i cierpienia,
Co zasłonią moje słońce, w mrok pogrązą moje życie,

Aby jeszcze przed zachodem blaskiem czynu zajaśniało,
Jak ten drogi pas przebyty, co zamiarów świeci chwałą;
Dalej, tam, za horyzontem widzę bezdnie ciemniejące,

Gdzie, jak w ciemnym oceanie wód, zatonię moje słońce,
A tam, głębiej — otchłań śmierci, dno otchłani —
[Zmartwychstanie,
Ale zgłębić tych pomroków wzrok śmiertelny nie jest
[w stanie.

O PÓJDŹ!

O pójdz, kochanie me, w lubieżne me ramiona!
Tyś mojem szczęściem jest i życiem jesteś ty,
Do ciebie dawno drży ma dusza utęskniona
I skrzydłem sięga swem przez ciemne nocy mgły.

Ja szczęścia złotych dni otworzę ci podwoje,
W tęczowy marzeń świat pokażę drogę ci,
I pozłocistą mgłą przysłonię oczy twoje,
A spełń mi tylko to, co dawno mi się śni.

Pójdziemy razem w dal, w marzenia kraj tęczowy,
Sam cię powiodę ja i drogę wskażę tam,
Gdzie płynie tylko nasz źródł szczęścia kryształowy,
A słońca złoty snop zaświeci tylko nam.

Ja z pierwszym brzaskiem dnia prawicą moją drżącą
Zaplotę jasne zwoje włosów twoich lnu,
A pocałunków mych muzyką czarującą
I ciepłem tchnieniem swem utulę cię do snu.

A miłość, szczęście twe i życie moje splecę
W pachnący wieniec róż — słonecznych naszych dni;
O spełń, kochanie me, marzenia moje złote,
Spełń tylko to, co ciągle mi się śni!...

W ODMĘTACH

Jako jastrząb drapieżny, gdy go strzała zrani,
Złoży skrzydła i wichrom powierza swe losy,
Tak i ja, pożegnawszy pogodne niebiosy,
Rzuciłem się w odmęty z bezpiecznej przystani.

I straciwszy swą gwiazdę wśród szczęścia zarani,
Mknę, wichroskrzydłe burze schwyciwszy za włosy,
Zawieruchą smagany, przez wodne kolosy,
Co wirują koło mnie, jak błędni szatani.

I płynę gdzieś samotny w głąb pustą, tajemną,
Coraz to nowe skały piętrzą się przedemną,
Nowe wiry tajemnic, mielizny ułudy,

Beznadziejne zacisza powątpień i nudy,
I wtedy chyba skończę ten pęd oszalały,
Gdy łódź ma o podwodne rozstrzaska się skały.

WIDMO ŚMIERCI

Czy po gościńcach chodzę rojnych,
Czy na kobierzec łąk kwiecisty,
Wszędzie mi ciszę chwil spokojnych
Zamąca śmierci cień przejrzysty.

Gdy złożę me stroskane czoło
I w śnie chcę znaleźć zapomnienie,
Z ciemności wtedy stają wkoło
I pełzną ku mnie błędne cienie.

Gdy słońce wrota swe otworzy,
Natura budzi się z uśpienia,
Zstępuje z pierwszym blaskiem zorzy
I budzi ze snu odrętwienia.

Gdy rzucam wonne ludzkie gaje
I orłem wlatam na urwiska,
Z przepaści wtedy ciemnej wstaje
I zimną mgłą mi w oczy ciska.

Rumaka swego gdy rozpuszczę
I, gnany trwogą mą bezdenną,

Piorunem mknąc przez dzikie puszcze,
Zapomnieć chcę swą marę senną :

Natenczas poprzez drzew gęstwice
Spogląda ku mnie ciemną marą
I w czyste oczu mych źrenice
Uderza gęstą kurzu chmarą.

I wtedy chyba mego życia
Skończy się męka niezmierzona,
Gdy zajrzę śmierci hardo w lica,
W lodowe rzucę się ramiona...

TAJNIKI DUCHA

Czasem wśród mojej duszy błąkam się ustroni,
Jakby wśród średniowiecznych podziemi zamczyska;
Czekam, rychło w tych mrokach zapłoną ogniska,
Rychło dzwon samowiedzy srebrzysty zadzwoni.

I wśród tej nieustannej za Prawdą pogoni
Ujrzę źródło, z tajnego ciekące urwiska,
I nieznane mi słońce z ciemności przebłyska,
Jakby wśród przepaścistej podziemnych wód toni.

Widzę marzeń młodzieńczych pogrzebane trumny,
Co w mrokach niepamięci drzemią na uboczu,
Ówdzie myśli mych górnych piętrzące kolumny;

Lecz cóż za wąż wypełznął z pod rumowisk cienia
I pożera mnie mglistą otchłanią swych oczu:
Znam cię, znam, ty przekłeta gadzino Zwątpienia!

KOCHAM CIĘ!

Kocham cię za twe usteczka pachnące,
Co zórz wiosennych przynoszą mi tchnienie,
Kocham — za jedno czarowne spojrzenie
Ócz twych chabrowych, jaśniejszych nad słońce.

I za twe słowa, jak balsam kojące,
Co mię podnoszą pod nieba sklepienie;
Mów do mnie, luba, a na twe skinienie
Gwiazd ci na niebie zapalę tysiące.

Lecz gdy wśród szczęścia wiosennej pogody
Zaigra słońce, tonące w zenicie,
Zaćmi złociste mych gwiazd korowody

I ku Wieczności srebrzącą się drogę:
Więc choć cię kocham, miłuję nad życie,
Lecz twym na wieki pozostać nie mogę!

ZABAWA RYMEM

I płyną dni żywota wśród ostrych kamieni,
To wśród błoń jedwabistych do wieczności morza,
Mijają zacienione, skaliste wydroża,
Aby znowu zajaśnieć wśród słońca promieni.

I giniemy wśród ciemnych wieczności bezdeni;
A gdy błysnie złocista zmartwychstania zorza,
Wyparujemy słońcem, wzlatamy w przestworza
I spadamy gdzieś deszczem, nanowo zrodzeni.

O, płyńcie moje nurty przez skalne podłoża;
Niech ciało w miał się zetrze i w proch się zamieni;
A gdy mię znów do życia wskrzesi wola Boża,

Niechaj duch mój nie wraca do górskich strumieni,
Lecz, wzleciawszy obłokiem w gwiazdziste bezdroża,
Niech zabuja wieczyście w błękitnej przestrzeni!

GDYBYM BYŁ KRÓLEM PTAKÓW...

Gdyby mi Pan Bóg w stworzenia godzinie
Dał rozporządzać ptaszęcemi chóry,
Wszystkie bym ptaki ludzkości w daninie
Święcił, jak symbol dna ludzkiej natury.

Dla was, gosposie i starsze matrony,
Wszystkie bym kury poświęcił na świecie,
Bo, chroniąc skrzydłem rodzinne zagony,
Jednako gderać i kochać umiecie.

Dla cię, młodzieńcze, — przelotne zórawie,
Byś razem z nimi w zamorskie krainy
Na marzeń skrzydłach poleciał na jawie
Do twej wyśnionej, królewskiej dziewczyny.

Dla was, panienki, — niewinne gołąbki,
Co, nosząc piórka cnoty i pokory,
W słodkiem sam na sam czyszczą sobie ząbki,
Gruchając czule w pogodne wieczory.

Wam, stare panny, poświęcę od serca...
Czapłę, nie starą, nie koniecznie krzywą,

Abyście nadal do swego kobierca
Przędły swych marzeń złociste przędzywo.

Dla was, mężatki, poświęcę łaskawie
Bociana z łąki, co przynosi dzieci,
A dla mnie? Dla mnie ja tylko zostawię
Tak mało... orła, bo najwyżej leci!

CZEŚĆ II.
B A J K I

DUMNY KWIAT

poświęcony Dumnemu Kwiatowi

Na cieplarnianej, żyznej glebie,
We złotogłowie barwnych szat
Wybijał, niby ptak na niebie,
Wysmukły dumny lilji kwiat.

Narcyzy gibkie, wonne róże
U stóp jej kornie słały się
I ałłasowych traw podnóże
Usłały jej w płateczki swe.
Na tym kobiercu barwnych szat
Wyniosły, dumny stał nasz kwiat.

U nóg jej niezapominajki
Szepiały cicho w jasnej mgle,
A ona, jak królewna z bajki,
Błękitom, słońcu śmiała się
I, chociaż była z ziemskich cór,
Korony chciała z lotnych chmur.

Czekała, słodka i dziewicza,
Wpatrzona w nieba jasną toń,

Rychło li ręka królewicza
Koroną jej uwieńczy skroń,
Gdy ten wyśniony, boski On
Posadzi ją na złoty tron.

A gdy się kwiatki kołyszące
Puściły z wiatrem w słodki tan,
Jaśniała pośród nich, jak słońce,
Jak nimfa, z rzecznych wyszła pian;
I w takim wieńcu barwnych szat
Wyniosły, dumny stał nasz kwiat.

I kiedy czasem motyl śnieżny,
W jej słodkim pyle kąpiąc się,
Pił woń miodową, a lubieżny,
Jak Amor cudny w boskim śnie,
Całusa jej pocichu kradł,
Wyniosły, dumny był nasz kwiat.

I gdy jej cudnej, pełnej chwały,
Płonącej krasą wonnych róż,
Narcyzy słodki uśmiech słały,
Ze snu ją budząc blaskiem zórz,
I wtedy, patrząc w górny świat,
Wyniosły, dumny stał nasz kwiat.

Rumianki wonne, polne kwiecie
Patrzyły w nią, jak w boski cud,
I dobrze było jej na świecie;
Uśmiechem słońca z nieba wrót
Uśmiechał doń się cały świat,
Lecz dumny, dumny był nasz kwiat.

I wciąż był dumny. Ale przecie
Wszystkiemu koniec jest na świecie,
Więc dotąd dumny był nasz kwiat,

— — — — —
Aż przyszedł osieć, co go zjadł...

LEW I OFIARA

Lew, co w leśnych pałacach, liściem pozłacanych,
Królował ponad puszczy obszarem bezbrzeżnym,
Pożerał całe krocie swych wiernych poddanych,
Wstrząsając puszcze całą porykiem drapieżnym.

Miał on gdzieś w głębi puszczy królewskie posłanie,
Spowite rozśpiewaną, pachnącą dąbrową,
Lecz on wołał samotny po puszczy oceanie
Szaleć, chwytając wichry w pierś herkulesową.

Bo on kochał swej puszczy niezmierne obszary;
Często, duszą zamknięty w jej głębin tajniki,
Chwytał blaski przesiane przez gęste konary,
Słuchając w dal płynącej drzew cudnej muzyki.

Raz, gdy w dniu uroczystym, w królewskiej swej chwale,
Siadł na tronie złocistym, poważny, wyniosły,
Chcąc go sobie przejednać, królewscy wassale
Skrepowane mu jagnię do tronu podniosły.

Lew nasz spojrział wzgardliwie na dumne satrapy,
A choć głodny był wielce, spragniony bez miary,

Upieścił drżące jagnię dotknięciem swej łapy
I zaniechał niewinnej, bezbronnej ofiary.

Człowieku, co lwa groźne, królewskie masz serce,
A pióra skrzydeł splatasz z promieniami słońca!
Ty błądzisz po pustyni w duchowej rozterce
I znosisz samotności tęsknoty bez końca,
Bo ty ponad wygodne, małżeńskie ciepłarnie
Przekładasz obłąd szata, pożądań męczarnie!

DZIKI KACZOR

Pogodne było, ciche rano;
Wschodniego słońca złoty krąg
Na wodę kładł się zwierciadlaną
I na obszary wonnych łąk,
Gdzie pośród barw i cudnych kras
Domowych kaczek tłum się pasł.

Kwakanie słycać. Tutaj starzy
Politykują, skubiąc szczaw,
Tam znowu parka cicho marzy
Na złotem runie miękkich traw,
Wachlując się skrzydłami, lub
Wzajemnie czyszcząc sobie dziób.

Czegoż im braknie? tu przecudnie
Smieją się kwiatki pośród traw,
Jeść mają dosyć, a w południe

Lustrzaną taflą nęci staw,
Więc kiedy szczęśliw brat i swat,
Cóż ich obchodzi cały świat?

Wtem ruch się zrobił, zamieszanie;
Okrzyki słyhać, dziwu szmer;
Wraz wszystkie głowy niespodzianie
Podniosły się do górnych ter.
Aż stary kaczor dumny łeb
Pod jasny nieba podniósł sklep.

A tam w lazurze kaczor dziki,
Podobny łodzi w morskiem tle,
Wśród barw słonecznych mozaiki
Na skrzydłach lekko ważył się,
Jakgdyby, w nieba wszedłszy próg,
Do słońca tajnych szukał dróg.

I długo jeszcze, jakby żagle
Powierzał wichrom skrzydła swe;
Potem rozprężył je i nagle
Na ziemię jął opuszczać się,
I, niby z chmur strącony kwiat,
Na złote runo łąki spadł.

— „Kwa, kwa“, rzekł kaczor zaperzony;
Cóż to za śmiałek, co za chwatał,
Rzuciwszy swe rodzinne strony,
Poleciał gdzieś w daleki świat
I hardym lotem swoich piór
Chce szukać szczęścia pośród chmur?

To zamiast paść się tutaj z nami
I z nami trawkę smaczną żuć,
On w jakiś kraj pod obłokami
Wyleciał, psując naszą młódź,
I teraz, pragnąc lotu wzwyż,
Niejeden skręci kark lub krzyż“.

— „Kwa, kwa“, odpowie ptak nasz; bracie!
Zaufaj mi, wszak jam nie wróg!
Czy widzisz niebo tan w szkarłacie?
Wszak dla nas słońce stworzył Bóg
I nam te skrzydła lekkie dał
Na lotów górnych boski szął.”

„O, bracia moi, czy wy wiecie,
Wśród jakiej wiosny rannych pór
I w jakim Bóg nas stworzył świecie
Czy tu na dole, czy wśród chmur?”

I czyli myśmy z ziem mogiły
Frunęli w błękit lotem piór,
Czy wyście, gdy wam zbrakło siły,
Na ziemię spadli z pośród chmur,
By, zapomniawszy jasne dnie,
Ku ziemi chylić karki swe.”

PAJĄK I JEGO DZIEŁO

Pajęczek młody marzył dniem i nocą,
Jak gmach zbudować z sieci aksamitu,
Wznieść sieć pajęczą — i z Boską pomocą
Sławą imienia dosięgnąć sufitu;
Myślał, że ludzi swem dziełem zadziwi,
I uszczęśliwi.

Więc do roboty przystąpił ochoczo:
Wypatrzył miejsce — i tak bez ustanku
Snuje wytrwale niteczkę przezroczą
Zrana do nocy i znów do poranku;
Nie odpoczywa, nic nie je, nie pije,
Marzeniem żyje.

Wzmacnia od dołu, upiększa od góry
Naciąga łuki, kolumny, sklepienia,
Myśląc, że jego cud architektury
Będą podziwiać przyszłe pokolenia;
Już nawet dumny chodził, okazały
Od przyszłej chwały.

Stanął już pałac. Już gości, sąsiady
Sprosił. Z radości aż pęka mu głowa;
Pajaczek huczne wyprawia biesiady,
Wtem cyt! o dziwo! cóż tam? Pokojowa!
Idzie i szczotką cud jego marzenia
W niwecz zamienia!

Ileż to ludzi wśród świata zawiei
Błąka się, topiąc swe myśli w błękicie,
Myśląc i marząc. A dla swej idei
Poświęca mienie, całe swoje życie,
A los tych marzeń czarowną krainę
Zmienia w perzynę!

KRUK I JEGO PRZYJACIEL

Kruk czarny, gdy doczekał pełnej życia wiosny,
Do uroczej kruczanki poczuł żar miłosny;
A że była wzajemną i rodzice radzi,
Więc pod skrzydło samiczkę przed ołtarz prowadzi;
Albowiem bez małżeństwa nie pragnął miłości.
Zakończywszy obrzędy, pozbywszy się gości,
Odetchnął pełną piersią, wyfrunął radośnie,
Założył sobie gniazdo na wysokiej sośnie
I, pracując gorliwie, czekał z utęsknieniem,
Rychło los go obdarzy licznem pokoleniem.
Z pośród licznych przyjaciół najwięcej miłował
Kruka, który z powagą wielką spacerował
Po ściernisku. Ze wszystkich najczulsze miał serce
I zawsze go pocieszał w życiowej rozterce.
Lecz poczciwy nasz kruczek, widząc te zalety,
O największej nie wiedział. Nie spostrzegł, niestety,
Że przyjaciel, poważnym kołyszac się krokiem,
Zerkał w górę nieznacznie ku samicy okiem,
A zmieszany, nie zważał na bruzdy i dołki
I często przekomiczne wywraćwał koziołki.
Raz, gdy niespodziewanie, nakształ z nieba gromu,

Obciążony zdobyczą, przyfrunął do domu,
Myśląc, że żona czule powitać go raczy,
Rozczarowany srodze, oniemiał z rozpacz;
Bo najdroższy przyjaciel (ktoby się spodziewał)
Z jego własną samiczką jajeczka ogrzewał,
I dzioby sobie czyszczą, aż trzeszczą im ząbki,
A gruchają rozkosznie, jak śnieżne gołąbki.
„Kra, kra!” zawrzaśnie kruczek, „ach wy sprzeniewierce!
Teraz wiem już, do kogo biło twoje serce!”
I uniósłszy się srodze w bezsilnej zazdrości,
Przyjacielowi wszystkie porachował kości;
Potem, mszcząc się, żrenice wydziobał sokole,
Choć mówią, że kruk swemu oka nie wykole.

I wy, ludzie, się strzeżcie, bo często tak bywa,
Że płaszczykiem się serca fałsz ludzki przykrywa.

NIEDŹWIEDŹ I MAGDA

Miś kudłaty, kosołapy
W gęste ukrył się igliwie,
Na wiatr puścił swoje chrapy
I rozgląda się tęskliwie.

Tak, tęskliwie, bo od wczora,
Jak zobaczył Magdę hożą,
Na pierś padła jakaś zmora,
Poczuł w sercu wolę Bożą.

Nie chciał miodu już pszczelnego,
Zbrzydła mu kudłata żona,
A potężną piersią jego
Targa żądza niezgłębiona.

Bo on lubił dziewczki kraśne,
Na łabędziej szyjce zwisać,
Wycałować oczy jasne
I z usteczek miód wysysać.

I tak stoi, cierpiąc srodze
I tęsknoty łzy wylewa;
Wtem, o dziwo! tam na drodze
Idzie Magda szukać drzewa.

Niedźwiedziowi błysły oczy
I potężna pierś zadrżała;
Wnet ramiona swe roztoczy
I wypuści się, jak strzała.

„A niechżeby cię wciórności”
Bąka Magda drżąca cała,
Niewiadomo, czy ze złości,
Czy ze strachu osłupiała.

I przycisnął ją do serca;
O rozkoszy niezgłębiona!
Już całuje sprzeniewierca
Obnażone jej ramiona.

„Co mój chłop mi na to powie?”
Bąka Magda, płacząc zcicha,
A kudłaty za swe zdrowie
Pije rozkosz z ust kielicha.

I gdy podły prześladowca
Zadowolnił się w miłości,
Nie wróciła już do chłopca,
Bo zostały tylko... kości.

Ileż ludzi w namiętności
Mówi w słodkich słów powodzi
O przedmiocie swej miłości;
A gdy z gruntu zbadać sprawę,
To im często tylko chodzi
O złocistą jej oprawę.

ORZEŁ I KURA

Orzeł, który, latając nad obłoków szczytem,
Oddychał pełną piersią słonecznym błękitem,
Śpiewając hymny słońcu, szczęśliwy, wesoły,
Postanowił raz zwiedzić marne ziemskie doły.
Rozszerzył swoje skrzydła, wyprężył je lotem,
Zakrążył pod chmurami szumnym kołowrotem
Zamigotał na słońcu, jak listek strącony,
Wreszcie w drzewa gęstwinie zanurzył swe szpony.
Rozejrzawszy się, ujrzał na dziedzińcu kury,
Co razem z duszą w śmieciach zgrzebły swe pazury,
I rzecze, dziób otwarty: „Posłuchajcie, przeciel
Czyż wiecznie na tych śmieciach żerować będziecie?
Czy zawsze będzie dla was, marnych duszą, ciałem,
Dziedzinić całym światem, śmietnik ideałem?“
Na to najśmielsza kura odpowie ze sprytem,
Połknąwszy długą glizdę z wilczym apetytem:
„Ten twój świat, kochaneńku, wcale mnie nie nęci;
Kto nie buja pod słońcem, ten karku nie skręci;
Nie fruwali po niebie mój ojciec i matka,
I ja też pozostanę taką do ostatka!“
Wtem mędrkującą kurę pochwyli kucharka:

„Za to, żeś mądra — rzece — pójdź prosto do garnka!“
I zanim biedna kurka przyjść mogła do słowa,
Osobno tułów leżał, a osobno głowa.
— „Taki marny twój koniec, jak marne twe życie,“
Rzekł orzeł, gdy już bujał po jasnym błękitcie,
„Lecz ja wolę spaść z słońca i stleć na popioły,
Anizeli po śmierci zdobić ludzkie stoły!“

WIATR I JASKÓŁKA

Jaskółka, czując blizkie chłody,
Rzuciła dom swój ukochany.
I przez powietrzne oceany
Szukała wiosny i pogody.

Żegnały ją sosnowe bory
I sianokosem wonne łąki,
A wiatr jesienny przez ugory
Zaszumiał smutną pieśń rozłąki.

Lecz ona leci na południe,
Gdzie słońca słyszy szept miłosny,
Gdzie świat uśmiecha się precudnie
Pod pocałunkiem młodej wiosny.

Tam na kobiercu wonnych kwiatów
Odetchnie słodkiem wiosny tchnieniem,
A wśród błękitnych aromatów
Życ będzie szczęściem i marzeniem.

I rozmarzyła się ptaszyna,
O cudnej myśląc tej krainie;
Już i o świecie zapomina
I tylko z wiatrem słodko płynie.

„Ja zmrużę, — mówi — swe powieki,
Nektarem marzeń się upiję,
A ty mnie ponieś w kraj daleki,
Gdzie los gniazdeczko mi uwije.“

A wiatr w ramiona ją lubieżne
Pochwycił, okrył mgły oponą
I na obszary niósł bezbrzeżne,
Całując, pieszcząc rozmarzoną.

I przez przepaście ją ponure
Na podobłoczne poniósł skały,
Gdzie, kracząc, orły złotopióre
Żałobną pieśń jej zaśpiewały.
A ona dotąd, śpiąc rozkosznie,
O szczęściu marzy i o wiośnie.

I my, rzuceni wśród zamętu
Na rozhukane życia fale,
Trzymajmy mocno ster okrętu
I wichrom stawmy się wytrwale;
Bo losu wichry oszalały
Poniesie nas na twarde skały.

OSIEŁ DYPLOMATĄ

Osiótek, party żądzą sławy,
Uprzykrzył sobie siano, wykę
I do stołecznej, do Warszawy
Wyruszył robić politykę.

Bo talent głosu miał wyniosły:
Jak ryknął, chiew się zachwiał cały;
Niedarmo go miejscowe osły
Burmistrzem miasta mianowały.

Pożyczył sobie spodni, fraka,
Uperfumował się anyżem;
Cóż robić, moda teraz taka,
Że osły w zgodzie są z Paryżem.

Gdy kosmetyką swą urodę
Już doprowadził do zenitu
I poszedł przejrzeć się nad wodę,
To aż rozryczał się z zachwytu.

Na tylne stanął kopcyciska,
Całusa posłał swej oślicy,
W cylinder uszy długie wciska
I marsz z paradą do stolicy.

Lecz u stołecznej go barjery
Wstrzymuje baran, starszy wiekiem :
„Publicznej, mówi, chcesz karjery,
To musisz zostać wpierw człowiekiem.“

I wydobywszy ostrej szabli,
„Daj uszki — mówi — moj kochany.“
A osieł: „Niech was wszyscy djabli!“
Wykrzyknie chwiejny, zblamowany;
I oniemiały z strasznej trwogi
Zaniechał rządów i stolicy,
Zawrócił, na wiatr puścił nogi
I... padł w objęcia swej samicy.

I odtąd każdy mu wspomina,
Że kłapouchy chciał być posłem,
A osiełkowi spadła mina,
I tak, jak był, pozostał osłem.

OŚLA REPUBLIKA.

Za dziesięciu górami, nad brzegiem strumyka,
Pała się tłuszcza osłów niesforna i dzika,
Tworząc królestwo, kędy lew o płowej grzywie
Rządził, berło trzymając mądrze, sprawiedliwie.
Więc łagodził ich spory, usuwał fermenty,
A żeby nikt nie bywał z pod prawa wyjęty,
Poprzez bory i knieje w wszystkie cztery strony
Porozsyłał na skórze spisane zakony.
Ale rządzić tą tłuszcza trudną było sprawą,
Bo żaden nie chciał wiedzieć, gdzie lewo, gdzie prawo,
A co sobie uważał źle postanowionem,
Mógł wykręcić się tyłem i nakryć ogonem.
Cóż nasz król na to pocznie? Ten, zniecierpliwiony,
Kazał wpierw nieposłusznym obcinać ogony,
Co dla nich przecie było karą ponad kary.
A gdy ci, zbuntowani, podniósłszy sztandary,
Urządzali pochody i manifestacje,
Król nasz zjadał po pięciu osłów na kolację.
Niedługo nasze osły to wszystko znosiły;
Niebawem tłumy osłów, rycząc z całej siły,
Otoczyły go — tłuszcza niesforna i dzika —

Z okrzykami: „Precz, precz z nim! wiwat, republika!
Precz z nim“, ryczą tak groźnie, podniósłszy ogony,
Że nasz lew, zapomniawszy królewskiej korony,
Jak niepyszny uciekał, rozpuściwszy grzywę.
Teraz już nasze osły swobodne, szczęśliwe,
Zgromadziły się tłumnie i z swych luminarzy
Postanowiły wybrać radę komisarzy.
Nazajutrz, ledwie słońce weszło, nowa rada
Na królewskim dziedzińcu poważnie zasiada,
By wśród ryków, poklasków i kociej muzyki,
Obradować nad losem przyszłej republiki.
Pan prezydent, co tego dostąpił zaszczytu,
Bo miał skórę połyskiem lśniąca aksamitu,
A głosik sympatyczny, jak trąby Jerycha,
Zagaił zgromadzenie roztropnie i zcicha.
Więc powstaje najśmielszy z pośród komisarzy
I rzecze: „Kiedy mi się sposobność nadarzy
Tu przemawiać, pozwólcie, że wobec starszyny
Najważniejszą wpierw sprawę poruszę ojczyzny,
Którą kocham i życie poświęciłbym dla niej,
Wiec radzę prawo spisać na skórze baraniej.“
— „Ehe, cóż to, braciszku“, odkrzyknie z prawicy
Jakiś śmiałek, przesywszy go ostrzem żrenicy;
„Cóż ci winne barany? I my też nie święci!
Panowie! proponuję dla lepszej pamięci
Spisać nie na baraniej, lecz na osłej skórze!“
Tego tylko im brakło. Wnet całe podwórze
Napełniło się zgiełkiem piekielnym i wrzawą;
Jedni poszli na lewo, a drudzy na prawo,
A każdy z komisarzy i gestem i rykiem
Walczył słowo za słowo ze swym przeciwnikiem,
Usiłując przekrzyczeć ich wszystkich, a przytem

Popierał argumenty delikatnie kopytem.
Wszczął się straszny harmider. Rzekłbyś, że się wściekła
Cała tłuszcza szatanów rozproszyła z piekła,
Ponad którym to piekłem, jak trąba rozdęta,
Królował bas szlachetny pana prezydenta.
Wtem jeden z komisarzy, co, siedząc na stronie,
Trzymał głowę na karku, a nie na ogonie,
A który, nie chcąc patrzeć na ten tłum złowrogi,
Schował był sobie głowę aż pomiędzy nogi,
Wstał, odetchnął, wyciągnął swą głowę z pod brzucha
I taką im przemowę wytrąbi do ucha:
„Komisarze!“ wykrzyknie; „rzecz cała nie w skórze,
Ale w całej oślinej się mieści naturze,
I dopóki my, osły, będziemy osłami,
Póty nigdy nie będzie ładu między nami!“

HAMULEC

Jechał mędrzec raz tramwajem w prostych ludzi tłumie,
Obserwując ludzi wkoło w swej wiecznej zadumie.
Przemyślał o dążeniach i celach ludzkości:
Ile wspólnych mają myśli, ile przeciwności,
O co walczą ludzie zwykli, jakie mają troski,
Wreszcie ze swych obserwacji jął wysnuwać wnioski,
A więc primo: cała siła myśli ludzkich wątki,
Cała praca krąży tylko dokoła żołądka,
Gdy zaś niebo się rozchmurzy, w szczęściu, dobrobycie,
Wtedy wyższem ich dążeniem jest rozkosz, użycie.
A secundo: gdy ci wszyscy przykuci łańcuchem,
Oni, mędrce, za nich myślą, oni żyją duchem,
Oni gardzą marnym światem, nie kąpią się w brudzie,
Nimi inne rządzą prawa, bo są inni ludzie.
Wtem hamulec zgrzytnął. Jakaś niewidzialna siła
Porwała go silną ręką i w tłum go rzuciła,
I gdy, broniąc praw, natura nabiła mu guza,
Nie udawał mędrzec więcej w tramwaju intruza!

OSIEŁ I SŁOWIK

Przekład z Kryłowa.

Osieł, ujrzawszy słowika na drzewie,
Podszedł i, głowę podniósłszy, powiada:
„Słyszałem, druhu, żeś ty w swoim śpiewie
Dobry artysta i majster nielada;
Otwórz więc swego gardziółka wrzeczadze,
Niech ja usłyszę i raz niech osądzę!“
Na to uprzejmy i dumny swym śpiewem
Słowiczek rad był pokazać swe dary:
Zaćwierkał, świsnął — i z wiatru powiewem
Zaplątał cudnej piosenki fanfary;
Już płynie piosnka pieszcząca i rzewna,
Jak flet daleki upojna, rozwiewna,
Już bliżej, zda się, że pośród ustroni
Jak deszcz wiosenny po liściach zadzwoni;
W niemym zachwycie zasnęła przyroda,
Słuchając pieśni kochanka Aurory;
Zamikły wiatry, szumiące jawory
I na polanie pasąca się trzoda,
A pasterz w oczy wpatrzony pasterce
Myślą wylatał nad kwietne kobierce.

Skończył nasz śpiewak. „Dzięki ci za trudy“
Rzekł osieł, wzięwszy minę bałamuta;
„Można cię czasem posłuchać bez nudy,
Szkoda jednakże, że nie znasz koguta;
Dużobyś jeszcze ulepszył swą sztukę,
Gdybyś do niego wstąpił na naukę.“
Słyszac sąd taki, kochanek Aurory
Wzbił się wysoko w niebieskie przestwory.

Zdarza się często podobna ocena
Wśród ludzi; nieraz wśród gości salonu
Niejeden, słyszac koncert Bethovena
Pyta, czy czasem niema gramofonu?



SPIS RZECZY

str.

Od autora	3
---------------------	---

CZĘŚĆ I.

Zakopiański Farys	7
Nie dla mnie szczęście	12
Czemu, strumyczku	13
W głębiach ekstazy	14
W słońcu	15
Noc w Tatrach	17
Kocham!	18
Rycz burzo!	20
Zachód słońca w Zakopanem	21
Pieśń Wszechpiękna	24
Dwie dusze	25
A gdy dla mnie	27
Zboczyłem z gościńca	29
Sonet Musset'a	30
Próżne życie	31
Pieśń strumienia	32
Stworzyłem świat nowy	34
Kult piękna	35
Hej, zanuć śpiew	36
Obrazek	37
Medytacje	38
We mgle Wszechstworzenia	40
W samotności	41
Łazienki królewskie	43
Do artystki	44
Nad oceanem życia	46
Impromptu	47

	str.
Uśmiechało mi się szczęście	52
Do poezji	53
Rozmowa z Bogiem	54
Kiedy wśród bóstw	56
Być poetą	57
Poprzez wonne zagaje, wiosenne roztopy	58
Mroczny sen	59
Pocałunek Natury	60
Piosnka turysty	62
O, niepamięci!	63
Wizja na Świnicy	64
Zerwałem lilji pąk	68
Pamiętaj o mnie	69
Motyw jesienny	71
Animae fraternae	72
Czasem błędząc meteorem	73
O pójdz!	74
W odmętach	75
Widmo śmierci	76
Tajniki ducha	78
Kocham Cię!	79
Zabawa rymem	80
Gdybym był królem ptaków	81

CZEŚĆ II.

Dumny kwiat	85
Lew i ofiara	88
Dziki kaczor	90
Pająk i jego dzieło	93
Kruk i jego przyjaciel	95
Niedźwiedź i Magda	97
Orzeł i kura	99
Wiatr i jaskółka	101
Osieł dyplomata	103
Ośła republika	105
Hamulec	108
Osieł i słowik	109



INSTYTUT
1120AŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

<http://rcin.org.pl>
 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
 Tel. 26-68-63

F

9845